

# Czerwony\* Kapturek

numer DWUNASTY

WIOSNA '90



SPOŁECZNO MYŚLNIK METAFIZYCZNY

## WYPRACOWANIE EKSTATYCZNE

To, że zbyt często zdawaliśmy sobie sprawę, miało zapewne wpływ na zdawkowość ujęcia tematu naszego Wypracowania. Temat brzmi:

### PRAWDA

Czy udało się nam przekroczyć barierę potocznego dźwięku i zbliżyć do prędkości Jej światła? Czy towarzyszące temu przymrużenie oka nie będzie razić gustu czytelnika, nieprzywykłego do naturalnych odruchów?

Choćby tsk i było, nie będziemy się zrażać krytyczną odrazą ani też porozumiewawczymi mrugnięciami ocen. Nie do nas należy przykra funkcja "rozkopywania kretynowisk krytyki."

Skądinąd wiadomo, że mimo uszu zwykliśmy puszczać oko w tkaninę starożytnego sloganu "de gustibus non disputandum". Najśmielszym naszym zamierzeniem jest przecież zmienianie gustów, tych przykrótkich ubranek, zwłaszcza dla różnącej w naszych oczach Prawdy. Starając się wytrwać w Jej blasku uznajemy "de Veritas non disputandum" za naszą zasadę Naczelnych. Skąd wszakże odchylenia gustów musimy uznać za co najmniej dyskusyjne.

Z tego stanowiska (być może ostatniego stanowiska i ekologicznego Homo Veritates) chcielibyśmy wypracować tę niepodzielność spojrzenia, która charakteryzowała tak bliskich nam ludzi odległych w czasie. Oni to przecież, jak chcemy to pokazać w dalszym ciągu, prawdę czynili; prawdę tak immamiętną życiu, iż żadna przypadkowa naleciałość nie zdołała odchylić Jej wyprostowanej postawy (Veritas Erectus). W uznaniu zasług podkreślmy tę Jej nieoddzielność od życia społecznego, kulturalnego i religijnego w owych czasach - co sprawiało, że wszelkie takie naloty były bez większych szkód przez Nią przyjmowane.

Ożywia na przy tym usprawnione przekonanie, że to, co gotowiśmy znać prehistorią, nie musi odejść bezpowrotnie, zwłaszcza jeśli ostatecznie wyczuleni będziemy na autentyczne brzmienie naszych potrzeb. Jedną z nich jest bez wątpienia potrzeba "życia w prawdzie" - z głębokiego zapomnienia wzywającego dziś pomocy, życia, które jedynie pozwala zachować świeżość spojrzenia. W odpowiedzi na ten Głos staramy się odświeżyć Pamięć. Ozieli na s jednak odeń nieprzebyta (dotąd) puszcza współczesnego "życia pozytywnego", tego życia-które-zapomniało (się). Dlatego wymaga to od nas od-poznawczego wysiłku.

J.B. i M.W.



"WPRAWDZIE..."  
(próba trafienia do pudła)

Prawdziwie robi się w Polsce. Jako jedno ze świadectw i zarazem jako ekstrakt pewnych "prawdziwościowych" postaw posłuży nam notatka o Wałnym Zjeździe SDP ("Prawdy i tylko prawdy" Gazeta Wyborcza 30.06.89). Czytamy w niej: "przede wszystkim mówić prawdę społeczeństwu", "opozycji nie wolno kłamać", "nie chcemy oszukiwać społeczeństwa", "czytelnicy oczekują prawdy i tylko prawdy". I chociaż tymi, w rzeczy samej, truizmami eutorka zdaje się trafić w sedno oczekiwań społeczeństwa... to jednak "Czerwonemu Kapturkowi" prawdopodobieństwo owo zaczyna pachnieć pudłem!

Trafić do tego pudła i nie uchybić prawdziwie oto dialektyczne zadanie na miarę hermeneutycznych ambicji "C.K."

Gdy rozpoczyna ktoś swą kwestię do mnie: "Wiem, że nie wolno mi kłamać", "nie chcę cię oszukać" to czy nie jest to pewien terror, subtelny rodzaj przymusu? Oświadczenia te budzą mój niepokój tak samo (choć mutatis mutandis) kiedy kto zaczyna: "wiem, że oczekujesz poszanowania". "nie chcę cię pobić". Czyż te niepotrzebne słowa nie dają do myślenia? Czuję się również upudloni, ponieważ takie beztroskie w gruncie rzeczy sformułowania uchybiają godności człowieka, który wie choćby to, że do mówienia prawdy nie wystarczy sama chęć szczera, a także i dlatego, że mam wrażenie, że mówi do mnie człowiek z tzw. czystymi rękami, a jak uczy doświadczenie, ludzi takich łatwo w dyskusji zdenerwować. Zaryzykujemy jednak.

Owszem, autorka twierdzi, że napisy na murach "prasa kłamie" "nie dotyczyły prasy podziemnej ani takich pism jak "Tygodnik Powszechny", ale chciałyby widzieć w nich (napisach) "memento dla wszystkich dziennikarzy". Jedyne ślad odpowiedzi na pytanie: jakiego rodzaju ostrzeżenie ma na myśli? znajdujemy w poprzedzającym akapicie. Otóż określając Stowarzyszenie jako organizację pluralistyczną politycznie i ideowo zastrzega: "co nie oznacza, że godzimy się na pluralizm w sensie moralnym. Ktoś napisał kiedyś, że dziennikarz jest profesjonalistą, który może dowolnie zmieniać mocodawców, a na potrzeby każdego z nich przedstawiać sugestywnie każdy pogląd, nawet, jeśli sam mu jest przeciwny. Nie brak w zawodzie żurnalistów konformistów, którzy kierują się właśnie tą dewizą. Sądzę, że w naszym Stowarzyszeniu nie będzie dla nich miejsca." Czyż nie brzmi to słusznie? i rzeczywiście jest to rozpowszechniona opinia. Jeszcze bardziej urzekająco szczerze sformułował ją inny autor ("Ratowanie faktów" Tygodnik Powszechny 44/1987): "Najlepsze wzory moralne ukazane w literaturze, wzory, które sam rad bym zaakceptował, okazały się dla mnie bezwartościowe, jeśli nie znajdują poparcia w wartościach, jakie pisarz uznaje w sprawie, której broni." Taki widać najlepszy sposób na prawdę: podłożyć prawdziwe świnie. Oto wystarczy by świnia przemówiła ludzkim głosem, a przestajemy rozumieć? Niech no jakiś rzeknie prawdę, a już odzegnujemy się od niej? Tak się przecież ironicznie streszcza pogląd autora, któremu wyraźnie brakuje konsekwencji intelektualnej (bo podważa to, co chciałby obronić) i życiowej (oglądanie się na innych).

Oboje autorzy relatywizując prawdę do postawy moralnej, przejawiają zasadniczą podejrzliwość wobec prawdy, wobec możliwości rozpoznania jej. Niepostrzeżenie, prawda zostaje zastąpiona przyzwoitością: co z tego, że sugestywnie przedstawia prawdziwy pogląd, skoro sam jest mu przeciwny, co z tego, że ukazuje najlepsze wzory moralne, skoro ich nie realizuje. Pozbawia się ją tej odrobiny autonomii, którą powinniśmy jej zapewnić, by w ogóle mogła istnieć, odrobiny niezależności myślenia, która pozwoliłaby nam dostżec w żądaniu świadectwa przyzwoitości niebezpieczną zmianę tematu. Tak jak uporczywe trzymanie się idei nie świadczy o ich prawdziwości tak i porzucenie nie dowodzi fałszywości.



Goya „Konająca prawda”.

Takie same niebezpieczeństwo zawiera się w poglądzie że społeczeństwo oczekuje prawdy<sup>1/</sup>. W istocie oznacza to zrelatywizowanie prawdy do oczekiwań społecznych. Np.: „oczekiwania publiczności pokazywały, że pragnie ona by historycy potwierdzili kulturowaną w tradycji rodzinnej i społecznej martyrologiczną i mesjanistyczną wizję najnowszych dziejów Polski. Wypowiedzi spełniające te pragnienia przyjmowano z aplauzem, te natomiast, które przeciwstawiały się narodowym mitom, czy też odrzucały skarejny polonocentryzm, ukazując np. racje i odczucia innych nacji, spotykały się z obojętnością, jeśli nie z niechęcią” (ten i następne cytaty z „Inny kraj” Res Publica 1/87). „Przypominanie niewygodnych dla władzy faktów, postaci i rocznio miało istotne walory edukacyjne, lecz jesoze ważniejsze było sakralizowanie narodowej symboliki. Przecistawiające się utylitarnemu traktowaniu

historii niezależne środowiska skazane były na popełnianie tego samego grzechu, przeciwko któremu występowały". Nieświadomość tego ograniczenia (właściwie konformizmu!) bierze się z ukrytego przesądzenia o niewinności społeczeństwa. Zaiste przyzwyczaiło się ono, że prawda może być niewygodna jedynie dla komunistów. Jest to konsekwencja antytotalarnej postawy o czarno-białym zabarwieniu manicheistycznym, która (jak każda postawa zbudowana na zasadzie negacji) grozi zagubieniem poczucia rzeczywistości. Skoro ktoś przyjmuje, iż wszelkie jego błędy i wady są pochodną stanu, w jakim znajduje się kultura albo państwo, tym samym oddziela się od siebie samego, jako osoby pogrążonej w sprzecznościach i w grzechu, we władzy mocy, które każdego, z natury rzeczy nękają i psują. Takie myślenie usuwa problemy osobowe każdego z osobna poza jego świat, czyni go anielskim i pozbawia potrzeby, a nawet konieczności nieustannego poszukiwania przede wszystkim w sobie źródeł własnych klęsk i zła, a także potrzeby pielęgnowania w obrębie własnej duchowości sił, które prowadzą ku naprawie". Dopóki nie zrozumie się tego, dopóty będzie się szukać winnych, prawdę zaś traktować jako dostarczycielkę racji i satysfakcji moralnych.

Zapewne Polska znalazła się w okresie przejściowym, także w sferze duchowości. Dlatego warto się zastanowić nad "problemem powrotu, odnowienia pierwszych motywacji skłaniających ludzi do udziału w życiu publicznym. (...) nie są to i być nie mogą, ani motywacje moralistyczne ani motywacje ideologiczne, lecz motywacje metafizyczne, czy jeżeli ktoś woli - egzystencjalne. To znaczy takie motywacje, które sprawiają, że sam udział w życiu publicznym jest już wartością". Te mądre słowa M. Króla (a mogły by być wykładnią naszego Myślnika) przerysują we właściwy dla nas sposób: dopiero spośród ujawnionych wielu prawd (różnych obozów, wspólnot i poszczególnych jednostek) także i własnych, można wyjść ku innej prawdzie o społeczeństwie, w którym żyjemy, a przede wszystkim o samym sobie.

P.S.

Drodzy Państwo, zapewne odczuliście w tym artykule przesadę. Ale proszę mi powiedzieć, co robić gdy ktoś strzela do tarczy z dubeltówki: kilka śrutów w środku, wiele na całej tarczy a ile poza nią nie sposób policzyć. Trafił? Nie trafił? Podobnie jest z grandilokwencją - trafia do wszystkich i do nikogo. Jak zauważyliście nie zadałem głównego pytania: co to jest prawda, jakie znaczenie tego słowa mogła mieć na myśli autorka notatki - jakie ja (fakty, interpretacje reguły czy jeszcze coś innego). Wdawanie się w te skądinąd nieraz ważne ustalenia, tutaj uznałem za liczenie śrutu. Czytelna mogła być tylko przesada, ale ta była właśnie moją ostrożnością wobec prawdy, której uchybić nie chciałem; wolałem chociażby w przenośni trafić do pudła.

Jakub Bułat

1. Czy tak trudno zauważyć, że najczęściej oczekuje się potwierdzenia własnych przekonań i pragnień?
2. O problemie tym pisał w poprzednim numerze C.K. Michał Worwąg w "Liście o realizmie".

## WŁASCIWY POCZĄTEK NASZEGO WYPRAWOWANIA

Dawno, dawno temu cały świat spowijała gęsta mgła snów, baśni i przywidzeń. Ludzie snuli się pośród najfantastyczniejszych opowieści i domysłów, i nie było takiej siły, która byłaby w stanie rozwiać tę na wpół senne marzenia i niesamowite zwydy. Bo też uroili sobie wtedy wiele nieprawdopodobnych rzeczy, a czego sobie nie uroili to samo się roilo w leśnych chaszczach i na piaszczystych pustkowiach. Nie kryły przed człowiekiem swej obecności karzełki szczerzące się w podstępnych uśmiechach, ani bogu winne duchy, które ociągały się z odejściem z tego świata. Szczerbate wiedźmy o twarzach zasuszonych prawdziwków chętnie zamieszkiwały na skrajach wsi i lasów a w przydrożnych krzakach strzygły uszami i świeciły oczami migonie i dusiołki, żywiące się ludzkim strachem. Wygłodniałe olbrzymy włościły się po gościńcach napadając na podróżnych przeważnie w porach posiłków. Królestwa cierpiał, nawiedzane przez wielogłowe smoki i okrutnych czarnoksiężników. Rzeczy najbardziej niecodzienne zdarzały się co najmniej kilka razy dziennie a niespotykane widywano jeszcze częściej. Nocne koszmary były na porządku dziennym. Takie to były czasy dawno, dawno temu.



Trzeba tu jednak dodać, że ludzie cierpliwie znosili swój los. Nie skarżyli się ani nie chwalili sobie owej obfitości niespodziewanych wydarzeń. Można powiedzieć, że się przyzwyczaili do niezwykłości życia i to do tego stopnia, że nawet w chwilach wytchnienia, jakby im mało było własnych przeżyć, spędzali czas na wysłuchiwanie zapierającej dech opowieści. Wszystkiemu dawali wiarę, bo też wszystko w rzeczy samej możliwe było, zaś kłamstwo lub zmyślenie, jak wiecie, po tym poznać można, że jest nieprawdopodobne i niemożliwe, lecz wtedy rzeczy niemożliwych nie było. I wydawało się, że świat taki mógłby trwać bez końca. A przecież stało się coś takiego, na co zrazu w ogólnej ciszy jaka wtedy zapadła, nie zwrócono większej uwagi, a właśnie w tym momencie zapowiedziało się zakończenie wszystkich cudowności. I w tym miejscu znajduje właściwe miejsce nasza opowieść.

## O NIESŁUSZNOŚCI PODZIAŁU NA PRACOWNIKÓW METAFIZYCZNYCH I UMYSŁOWOCHORYCH

Już w najdawniejszych społeczeństwach tzw. bezklasowych dała znać o sobie arystokracja ducha. Znakiem tym bezbłędnie rozpoznawanym był obłęd pewnych jednostek - ich histeryczne usposobienie, szaleństwo myśli i czynu - jednostek dostępujących owym naturalnym i niepretensjonalnym sposobem roli szamana, roli przewodnika duchowego ludzkości.

Upadek tej klasy ludzi zaznaczył się z chwilą, gdy w łono jej przenikać zaczęli osobnicy późniejszego rodzaju. Nastąpiło święte umasowienie szczytu, jakbym dziś powiedział, czubka społecznego, choć w istocie czubek ten zamieniał się w otopiałą końcówkę. Utrata naturalnej zdolności objaśniania świata, w miarę wciskania się zazdrośnej ciemnoty duchowych dorobkiewiczów, upatrujących osobistych korzyści z zaszczytów w wywyższeniu się ponad prosty organizm ludzki, doprowadziła do tego, że szaman z natchnionego spirytysty staje się w oczach zwykłym nadzianym spryciarzem.

Spostrzeżenie to nie pozbawione inteligencji, doszukując się partykularnych interesów tam, gdzie szło o dobro całości samo również nie jest niewinne, jakkolwiek by w rzeczywistości było naprawdę. Z braku miejsca (?) pominię tajemnicze w istocie okoliczności skosztowania wątpliwego owocu domyślności, lecz owocność tego czynu pozostaje niewątpliwa: tak ruszyła z kopyta Historia a kopniętych umieszczano na boku.

Tak rozpoczął się najdłuższy w świecie Proces historyczny przed Sądem doprowadzonym do Ostateczności ilością oskarżeń i wykluczających się motywów, który skazywał, wyrok odkładając na potem. W świetle różnych racji biorących udział w procesie, a w praktyce brali w nim udział wszyscy, a więc w świetle tej całej, krótko mówiąc, racjonalności w pierwszym rzędzie w stan oskarżenia posadzono tych, którym z natury rzeczy najtrudniej było tłumaczyć się, dopisywać do swej działalności komentarz. W toku Śledztwa ziemską pośledniość wyparła boskie upośledzenie, które schodząc z przyziemnych ścieżek codziennego zatroskania dzięki swym ekstatycznym podniebno-podziemnym trąpsom znało wszystkie nieszczęścia tego świata i drogi do jego naprawy. Szaman okazuje się wariatem, przygłupem i schizofrenikiem: z naszego domu wyrzuca się go do Domu Wariatów<sup>2</sup>. Nowa arystokracja, ale: już nie arystokracja ducha a w jego imieniu, rozwarstwiła się na arystokrację władającą i duchową. Rozłam ten nie jest jednak istotny z punktu widzenia<sup>1</sup> ludu, który pozbawiony przewodnictwa wybranych przez los, traktował odtąd "wyższych" od siebie jako całość, obcą i pasożytniczą na ludzkiej pracy i mowie.

Jakub Bułat

- 
- 1 - o tych, którzy się na to zdobyli, czytaj u Michała w "Sadzy o Prawdzie"
  - 2 - przypatrz się też Domom: Dziecka, Starców a także Publicznym, Kultury, Książki itp...

Bodaj, że w Ziemi Ulro Miłosz zapytuje, czemużby książek nie traktować niczym potrawy. Programowe nieczytanie pewnych pozycji znajdowałoby wówczas bezsporne zrozumienie i usprawiedliwienie: "Nie czytam, bo mi to szkodzi."

Prof. Stieblin-Kamiński, Filolog, w sprawie rozumienia sag islandzkich wywodzi, jakoby w dobie powstawania tychże, były one dla słuchaczy całkowicie i niepodważalnie prawdą, wraz z zawartymi w nich wątkami fantastycznymi, co nas oczywiście, może tylko śmieszyć.

Powodem tak bezkrytycznej wiary ma być skromny ten fakt, że Prawda nie uległa wtedy jeszcze schizmie - rozszczepieniu na dwie, nierówne w prawach połowy. W świadomości człowieka współczesnego funkcjonowałyby zatem dwie jej postacie: naukowa, w ścisłym znaczeniu i tzw. artystyczna, bez specjalnego znaczenia. Tak więc dziś opowieści fantastyczne (literatura), baśnie i mity zaprzatają nas o tyle tylko, ile odnajdziemy w nich prawdy "w głębszym znaczeniu", stanowiącej podtekst opowiadanych zdarzeń. Tymczasem jeszcze dla XIV-wiecznych islandczyków było to po dyletancku nierozdzielne. Opowieść albo była prawdą w CAŁOŚCI, albo też była skłamaną. "Usiłowanie określenia tego, co w sagach stanowi prawdę historyczną, co zaś artystyczną - zauważa Stieblin - równoznaczne jest z szukaniem różnic, na których braku polega istota prawdy przedstawionej w sagach." Dla tak specyficznego poczucia prawdy Kamiński rezerwuje termin: prawda synkretyczna, jako że dąży ona "równocześnie do ścisłości i do odtworzenia rzeczywistości w całej jej życiowej pełni", co obecnie możliwe jest jedynie z osobna.

Pozornie bez związku przypomnę, że w naszym języku wyraz: prawdziwy łączy się nie tylko brzmieniowo z wyrazem "prawy", co w formach archiwalnych jest wyraźnie widoczne. Powiedział "jestem prawym królem" znaczyło nie mniej, niż gdyby dziś "królem prawdziwym" powiedzieć. Wyobrażam stąd, że prawdziwość czyich słów wtedy była uznawana, kiedy z ust Prawego człowieka wyszły - była pochodną od stwierdzonej prawości mówcy. O ile więc nie we wszystko co powiedziane, nawet w Islandii, niegdyś wierzono, o ile odróżniano przecież prawdę od kłamstwa, to za kryterium wiarygodności starczała godność-wiary-osoby podającej wiadomości.

Ale i to nabrało zasadniczego znaczenia dopiero z chwilą, gdy podejrzliwość tak wobec opowieści jak osób, zyskała sobie pewniejsze podstawy. Było więc tylko autorytatywną odpowiedzią na obudzoną już, wcześniej wątpliwość. W formie najbardziej niewinnej wątpliwość ta przyjęłaby postać pytania: A co jeśli chociażby najbardziej Prawemu zwyczajnie pamięć nie dopisze?

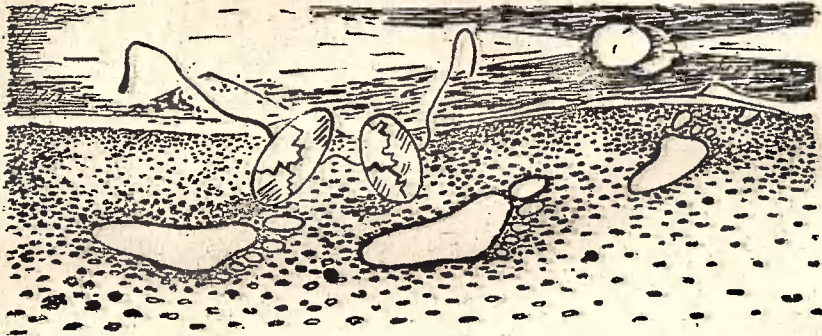
Pierwsza odpowiedź głosi, że nawet gdyby ów prawomówca dopisał to i owo z własnej inwencji, to przecież nie skłamał, tj. nie będzie wodził na pokuszenie zawsze jakoby Dobro słuchaczy mając na względzie. Należy mu więc zaufać - ostatecznie Prawda ma tu być cała, nie szereg kolejnych zdarzeń. Jesteśmy w istocie blisko owej Prawdy Totalnej, gdy ulegając sugestii autorytetu przyjmujemy za prawdę to, co na dobre wychodzi, co innymi bo Miłosza słowa, "nie szkodzi".



I niechże ta myśl będzie dla nas tropem wiodącym ku właściwemu polu przebywania Prawdy. Bo choć zbyt dawno ono już nie uprawiane, trop ten uprawnia nas do dalszych poszukiwań - wśród chwastu narosłych oczywistości.

Jeśli mnie ktoś teraz zapyta, czy obok tej pierwszej odpowiedzi na podniesioną wątpliwość, widzę jeszcze jakąś inną, to dodam, że padła już ona - i to w faktycznie przepisanej dla niej postaci, tj. w uwikłaniu i zależności od owej bardzo etycznej prawicy, której nie stać na uznanie, że troska o całość tej prawdy może się obyć bez moralnej podpórki.

W gruncie zaś jakakolwiek druga odpowiedź winna lekceważyć i zbywać milczeniem nasuwającą się (na nią) wątpliwość. Jak dotąd jednak pierwsza odpowiedź się liczy.



### SAGA O PRAWDZIE

Aby nic nie zataić, trzeba dobrze zdać sprawę, że kłamstwo czy raczej fałsz, jak go dziś pojmujemy, był trwale, bezceremonialnie obecny w zwartym bloku prawdy totalnej, i tylko dzięki czujnej opiece "prawych ludzi" nie stawał się źródłem błędu. A im wyraźniej manifestował się rozdzwitek między scälającą mocą Prawdy a jej fałszywą podszewką, tym bardziej wzrastała rola jej "prawych opiekunów". W późnych sagach "biskupich" uzdrawiająca moc dobra (manifestująca się bardziej jako kanon moralny, niż wewnętrzna intuicja) nawet zmyslenie i fantazję potrafiła czynić prawdami. I odwrotnie: dobro decydowało, że i prawda stawała się błędem. "Dobrze jest wierzyć w dobre, a źle wierzyć w złe, choćby nawet było ono prawdą" - powiada się w sadze o księdzu Gudmundzie Arasonie.

Jeśli posunąć się teraz do wzmówienia, które zawsze preferujemy to w istocie prawda była w tym położeniu zniewolona - pod ścisłą kuratelą słuszości moralnej. Lecz niewolnicstwo prędzej niż później rodzi bunt...

Historia prawdy przedstawia się jako historia rozkładu pewnej sztywno postanowionej hierarchii.

Znamienne jest, że Przekroczenie Prawdy Totalnej w stronę jej uściślenia nie dokonało się, jakbyśmy chcieli oczekiwać, przez bezpośrednie odkrycie, czy wydobyte prawdy faktu

spod gruzów autorytarnej moralistyki prawdziwości. Odwrotnie: najpierw uwolniono czysty fałsz - zmyślenie! Oto zaczęły powstawać baśnie i "sagi legendarne" (jest udowodnione, że sagi legendarne są późniejsze od rzetelnych sag rodowych, podobnie wtórność bajki wobec mitu), w których cudom i niesamowitościom nie dawano miary. W-prawdzie utrzymywały się nadal "opowieści całościowe", nie dziwię się jednak, jeśli tym dla odmiany, przestawano już dawać wiarę. Tak to dawanie zawiodło na całej linii. Rozpoczęła się era brania, a raczej: wybiórczości.

Przyjrzyjmy się bliżej temu przełomowi. Jak łatwo zauważyć, rozbicie Prawdy Totalnej nie miało na oko założonego celu - jak: poznanie prawdy ściślej. Rozpoznanie ziczoności "kręgu prawdy" dokonało się nieświadomie. Fascynacja zautonomizowanym pierwiastkiem zmyślenia poprzedza nawet samo zrozumienie dokonanego rozkładu - który przecież musiał w jakiejś formie dokonać się wcześniej, który umożliwiał dopiero fikcję "czystą".

Nic nam jednak o tym nie wiadomo<sup>1/</sup>. Wiadomo natomiast, że odtąd dostrzeżono wartość samoistną zmyślnie obmyślonej fabuły, której elementy zaczęły być ze smakiem dobierane! Odtąd zmyślenie zaczęło szkodzić, a przynajmniej wydało się szkodliwe w oczach do tego uprawnionych. Jak pokażemy stało się to przyczyną ich zamknięcia na wieki. Nie neutralizowana już słusznością prawych ludzi, rozplemioną wola oszustwa - rodzi uzasadnioną podejrzliwość. Poderwany autorytet prawomównych w odruchu obronnym - zmyśla prawdę ściłą. Woli oszustwa przeciwstawiona zostaje wola prawdy.

Te dwa zajścia - zmyślność jednych ludzi i poczucie zagrożenia prawych - wytworzyły całkiem nowy grunt dla poczucia prawdziwości, odkryły Niezaspokojenie Prawdą. Odtąd nie wystarczy już mówić mądrze i słusznie, nie wystarczy Prawić. Trzeba uzasadniać. Trzeba prawdę - objaśniać! (czemu, jak wiemy, końca nie ma). Powstało zapotrzebowanie na jakąś zasadę Doboru nienaturalnego mów. Proceder ten - począty w celu samokontroli - oczyszcza prawdę z nieściśłości: wszystko, co nie ściśnięte, aż do odsączenia z wszelkiej żywotności, zostaje uznane za zbędną wydzielinę, nieporządany ekskrement swawolnego umysłu, bądź niewygodnego zmysłu.

Bez względu jednak na rozpoznanie - ściśnięcie wymaga metody, metody wymaga też demaskowanie oszukańczej lewizny. Pracownicowa wola metody zatriumfuje w postaci "wątpienia metodycznego" - tego gorącego źródła wszelkiej podejrzliwości i nieufności, także wobec samej siebie, co naprowadza nas na wniosek, że w tej metodzie jest szaleństwo... Tu wola prawdy demaskuje się sama, jako ową dziwną wola, nie wolną nigdy od groźby samopodważania.

To zainteresowanie fikcją, które jak pokazałem, stało się bezpośrednią przyczyną zmian na twarzy prawdy - jest wyrazem buntu, buntu małych umysłów przeciw rygorowi obligującemu wszelką wypowiedź do swoistej szczerości sprawodawczej, do niezatajenia, które ostatecznie gwarantować ma racja moralna. Bunt ten w swym wystąpieniu przeciw całej hierarchii wiążącej w system elementy wypowiedzi i działań, prawdziwości i fikcji,

1 Próbę rzucenia pewnego światła na to tajemnicze "zajście" znajdziecie w tekście Jakuba "O niesłuszności podziału..." lecz i on zatrzymuje się przed ostatecznym rozstrzygnięciem.

słuszności i zła - skierować się musi przede wszystkim przeciw "uciskowi" owej racji moralnej, stanowiącej szczyt wspomnianej hierarchii.

Lecz jak łatwo zauważyć, te z przeciwka postawione umysły jędne - chroniąc się pod skrzydła prawdy ścisłej - wpadają w dołek kopany pod lewusami kłamstwa. (Z powodów moralnych) wybierają czystość (a jest to wybór przeciw brudowi kopany), czystość - tę ładną cząstkę, jako rekompensatę za utraconą pełnię. Jest to przejawem obsesyjnego pragnienia usunięcia brudów i wywabienia plam. Należałoby z tego powodu podejrzewać pionierów "uścisku" o wybujały jakiś estetyzm. Prawda czysta (czysty Rozum itd.) pochodzi raczej z wygłosu czystego, barbarwnego sumienia, a owi czyściciele prawdy, szorując jej posąg aż do połysku, poczynają w tym sobie niby Piłat, nie będący już w stanie ocanić Chrystusa, gdy ten stanął przed nim jako naga prawda: bo Chrystus, jak wiadomo ~~był~~ prawdą. Przebiegły Piłat odczytuje tę postać na sposób postawionego przed nim problemu, a jeśli widzi w Chrystusie Człowieka, to tylko Podstawionego przez faryzejskich kapłanów na wybadanie go, na sprawdzenie, "na pokuszenie"!

Podobny jest sposób postępowania czcicieli prawdy z rzeczywistością: przeocza ją kwestię jej stwórczości, kwestię bycia, mają ją daną jako zagadkę od niewiadomego kusiciela. Aby mieć czyste ręce w kontakcie z diabłem - wyciszają wszelkie "szumy": informacyjny brud. Lecz kto wie, czy (w obu wypadkach) nie bierze się to z czystą manii, manii brudnych rąk, co jest postacią psychozy natręctw.

Symboliczne i coraz liczniejsze Umywania - przedkłada nam wierny obraz bazstronnego świadka (w innej wersji obserwatora), który to ideał jest absolutnym nieporozumieniem: Świadek winno być rzetelnie wielostronne - również pełne jak dokładne - a owo "bez" jest wyłącznie wyrazem ubóstwa. "Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem oni posiadają królestwo niebieskie"? Ta obiatnika zaraz ukaże się na horyzoncie naszych rozważań. Pierwej jednak obejrzyjmy ideał prawniczy, który dopiero co się wyłonił.

## II

Dwa modale prawdy: Totalnej i Ścisłej - wydają się więc nie do pogodzenia. Z tego prawdziwego dylematu niech zda sprawę znana formuła: "Będę mówił prawdę: całą prawdę i tylko prawdę".

Zawarte w niej postulaty są trudne do utrzymania łącznie, jeśli nie sprzeczne. Wypowiedzenie rzetelnie całej prawdy, a więc wszystkiego, cokolwiek sobie przypominamy - wymaga rozluźnienia porządku wypowiedzi. Roztrajkotana przekupka, gotowa zwierzyć się ze wszystkich swoich wrażeń i przypadków jakie zaszły równoległe do sprawy o którą ją spytano, lub też starsza angielska lady, snująca opowieść wraz ze wszystkimi jej domysłami - ona właśnie najbliższe są wypowiedzenia CAŁEJ PRAWDY. Nieuchronnie jednak odbieramy wówczas wrażenie chaosu - w tak bowiem potoczystej wymowie zanikają związki przyczynowe między wydarzeniami. Podobne wrażenie możemy odebrać czytając sagę, gdzie pośród setek działających osób, trudno nieraz odszukać kontynuację "wątku", dla nas jakoby przerwane wiele stron wcześniej.

Naturalnym dziś przyzwyczajeniem jest oczekiwać od mówcy w miarę solidnej konstrukcji przyczynowej, a krócej operacji

swą wypowiedź. To jednak jest konstruowaniem prawdy, nie zaś jej nieprzemilczającym wyjawianiem. Koniec końców ta "jasna i wyraźna", zrozumiała bez wysiłku wypowiedź wyda się najbardziej skazona subiektywizmem, niż owo baby gładzenie o niczym, tj. o wszystkim cokolwiek wie i nie tylko, a co my gotowiliśmy zwać naiwnością. Głędźba taka posuwa się z natury swej do na- i roz-brzmiewania treściami domyślnymi i wymyśl(o)nymi - i to tym bardziej, im mniej krępuje się ścisłością przy czynową. Ze zaś wypowiedź stosująca się do tego postulatu lekceważy tym samym drugi - cała prawdy - to z powyższego również jasno wynika.

Za smutny należy tylko uznać fakt, że jadyne relikty prawdy totalnej odnajdujemy nie od dziś u osobników (przykłady jak wyżej, a są gorsze) powszechnie okrzyczanych prymitywami. Proces "specjalizacji prawdy", którego egzegezę zechciałem naszkicować, sięga wgląd samej nauki; tak iż nie wiemy już, czy mówić o prawdzie naukowej, czy o prawdach fizyki, psychologii, biologii z odosobna?

W tak chytry sposób nauki te, jakgdyby poszły w las. Bo ze swej jednej strony opuszczają nas w potrzebia (posiadania ogólnopoglądu), a z drugą: wzbraniają nam dyletactwa, pod pretekstem, że już zaraz połączą swe siły dając nam pogląd lepiej zasadny od naszego tymczasowego partactwa. (W czym wyraża się tylko wciąż nieutulony pociąg nauk do Prawdy Totalnej, niebacznym na to, że w tej materii są impotentami). Nie ulega przy tym wątpieniu, że każdy z nas musi jednak - kuć prawdę póki gorąca.

A mówiąc tak powtarzam tylko za Norwidem. Ten to poeta, który był własnym swoim dziełem, na sto lat przed Stieblinem dostrzegając, że nasze położenie w obliczu prawdy prowokuje w człowieku mądrości dwie: "...jedna tymczasowo posługująca, druga - obiecana... Stąd obiedwie niezapelnie trwale mu właściwe, obiedwie warunkowe." Przy czym utarte jest, że owa "ziemia obiecana" zastrasza, rozrzedza i wyjąławia ziemię obęoną, ludząc ciągle, i jakoby już za następnym mirażem znajdziemy się u celu - oto współczesna warsja zadość/uczynienia w niebie. Dziedziczone i zgubne dążenie do ścisłości - po prostu zaciska nam usta: boimy się wypowiedzieć coś, co byłoby nie dość uzasadnione, nie dość umotywowane. Mało tego: obawiamy się nawet, iż czyni nasze nie dość są zasadnymi, aby im pofolgować. W najpotoczniejszych więc sytuacjach zasadzamy się na nie, a przyłapawszy nieraz próbujemy czyni nasze! - odwoływać.

Zresztą - być może się mylę, ale na pewno mam rację - Nie stać nas już na germańską naiwność. Stać nas na bezczelność, na arogancję i lekceważenie. Bez fałszywego wstydu skorzystajmy z tych naszych zalet. Jeśli nie prowadzą one do poznania prawdy, to przynajmniej są prawdą. Nie jest to oczywiście prawda wiedzy, ale jest jakąś prawdą prawda bycia.

Być może się mylę, ale na pewno mam rację - to zdanie powinno być wzorem. Jeśli totalnej wizji świata nie można zbudować na Ucz/cz/onej prawdzie, to na pewno można na tradycyjnie kruchej podstawie tej nieusuwalnej potrzeby, która w każdym żywym człowieku (tj. nie-specjaliście) woła o Całość.

Być może się mylę... i tylko dlatego czasami zastanawiam się jeszcze, czy nie miał racji Celnik-Rousseau, mówiąc do Picasaa: "my dwaj jesteście największymi twórcami w sztuce - pan w egipskiej, ja we współczesnej."

Michał Worwąg

"SŁOWO O PRZEMYSŁNYM SZLACHCICU Z MANCZY"

"W pewnej miejscowości Manczy, której nazwy nie mam już ochoty sobie przypominać, żył niedawno pewien szlachcic..." tak się to rozpoczyna. A nieco dalej zapisuje Cervantes godny uwagi ustęp: "Mówią, że miał przydomek Quejada, czy Quesada (co do tego nie ma zgody między autorami, którzy o tym pisali), ale na podstawie pewnych prawdopodobnych poszlak przypuszczać można, że nazywał się Quejana. Nie ma to jednak znaczenia dla naszej opowieści, chodzi o to, by opowiadanie nie odbiegało na jotę od PRAWDY."



Tego rodzaju wynurzenie zakrawa na ironię. A cóż to jest za prawda, która może nie liczyć się z faktami, jak nazwisko i miejsce zamieszkania bohatera? I w ogóle po cóż Cervantes tak się kryguje wspominając te rzekome fakty, których właściwie "nie ma ochoty sobie przypominać", czy raczej zmyślać? W dodatku w widowym zamiarze dalszego zwodzenia czytelnika zaśłania się autorytetem arabskiego skryby Sidi Hameta ben Engeli, który jakoby pierwszy spisał historię rycerza smutnego oblicza. Tymczasem jasne jest, że Sidi Hamet jest równie zmyślony, jak coś inne...

Wszystkie te chwytły narracyjne będą istotnie bez znaczenia dla naszej opowieści, jeśli nie zwrócimy uwagi na związek ich z samą opowiedzianą postacią. Don Kichot jest czytelnikiem doskonałym. (Na razie w ironicznym nawiasie). W pierwszym rozdziale zostaje przedstawiony jako wierny wyznawca romansów rycerskich i nie można mieć wątpliwości, że ten szlachetny szlachcic wierzy w to, co czyta! Wszystkie

jego szaleństwa wypływają z wiary w istnienie świata takiego jakim go poznał z ksiązek. A więc, jeśliby książki mówiły prawdę...

Nasze wątplenie w możliwość tego, równoznaczyłoby z uznaniem, że żadne słowa nie potrafią prawdy przekazać, a w myśl przytoczonych zapewnień, autor prawdę tę za cel sobie właśnie wytknął. Niewiarygodne szaleństwo bohatera i jego przygód zdaje się wprowadzić niweczyc wszelkie prawdopodobieństwo. Sam Cervantes nic sobie z tego nie robi. Dto w drugim tomie Don Kichot spotyka ludzi, którzy znają go z opowieści tomu pierwszego. Okazuje się, że tak przygodnie spotkany szlachcic, jak książę i jego otoczenie bawiąc się historiami tymi znakomicie, nie wierzyli w prawdziwość przygód Don Kichota i w niego samego. Teraz jednak mają okazję - ku tym większej swojej ucieście - przekonać się o wiarygodności opowiadania: oto ten niesłychany bohater stoi przed ich oczami. W tym miejscu opowieść przestaje być opowieścią. Dzięki zabiegowi włączenia czytelników książki w jej obieg wewnętrzny wszystko, co dotąd było ucieśzną, błyskotliwą gawędą nabiera cech najjaskrawszej rzeczywistości.

W tym miejscu też daje się spostrzec, że wszystkie zabiegi urealnijające łączą się w swej intencji z tematem i postacią - Don Kichot, czytelnik doskonały, występujący początkowo jako przedmiot drwin i przykład pomieszania rozumu w wyniku łatwowierności, sam staje się rzeczywistym ideałem, tym do którego nieznużenie dąży Cervantes, tak wiele trudu wkładając w nakłonienie czytelnika do wiary w prawdę jego słów. Wszędobylska w "Don Kichocie" ironia przestrzega przed dosłownym zrozumieniem tej prawdy. Lecz jednocześnie wszystkie te zabiegi nie pozwalają na lekkie, zabawowe tylko potraktowanie tematu, wskazują na pewien głębszy podtekst, na przesłanie książki dotykające namacalnej rzeczywistości życia. Gdzieś w umyśle Cervantesa po prostu zaczął się wiarą, że książka w podjętym trudzie opowiadania (że człowiek w podjętym wysiłku mówienia) może wskazać prawdy bardziej obliigujące dla życia, niż świadectwa naocznych faktów. Nikt nie ma oczu z tyłu głowy. Dla ogarnięcia całości potrzeba konstrukcji bardziej przemyślnego oka. Tym okiem może być właśnie Słowo.

Wróćmy do Don Kichota. W jego szaleństwie jest nie tyle metoda, co wierność wobec pewnego pojęcia prawdy. Sponiewierany, zamknięty w klatce, w swej dyspacie z kanonikiem zada wreszcie pytanie, przywracające mu jego pewność siebie: Jak to? "książki drukowane za pozwoleniem królewskim, za aprobatą powołanych, czytane z przyjemnością przez wszystkich i wychwalane przez wielkich i małych, przez bogatych i przez biednych, przez uczonych i nieuków, przez prostaków i szlachę, jednym słowem przez wszelkiego rodzaju osoby wszystkich stanów, te książki miałyby być kłamstwami?" Czyż ludzie mogą z upodobaniem żywić się fałszem?

W szaleństwie Don Kichota zawiera się szlachetna i zdrowa niezgoda na kłamstwo, dumne niedopuszczanie do wiadomości jego istnienia: Jak to? Słowo jest wehikułem Prawdy. Skoro przychodzi do mówienia mówimy prawdę i nic innego bo tylko w słowach ona z nas wypływa. Dlaczegoż to mamy wierzyć w istnienie Cezara i Aleksandra, a nie w istnienie Amadisa z Galii? Tak o tamtych jak o tym wiemy od ludzi, dlaczegoż mają nas zwodzić? - Wszystko to możemy nazwać naiwnością, życiem złudzeniami lub brakiem poczucia humoru. Faktycznie zaś wiemy już, że Don Kichot padł ofiarą owych wytrwałych zmyślaczy fabuły, dla których opowieść nie musiała już być

słuszna, ani głęboka a już najmniej prawdziwa, gdyż rozwód pomiędzy prawdą a zmyśleniem już się dla nich dokonał, przeto poczuli się zwolnieni z obowiązku kształtowania swych bajek na miarę rzeczywistości. Kto inny już miał się troszczyć o Prawdę.

Nie było to tak oczywiste dla Cervantes - być może dlatego po dziś dzień jeszcze go czytamy - jeśli raz jeszcze rozpatrzeć jego nie liczącą się z faktami prawdę, jasniej zobaczymy, jak innej próby jest zmyślenie, którym się posłużył, od tego na którym załamała się wiara Don Kichota. W tym kontekście zakończenie dzieła jest jego elementem koniecznym - uzdrowiony Don Kichot musi być Don Kichotem złamanym - złamanym przez odkrycie fatalnego wyzwolenia zmyśleń, owej utraty przez nie związku z prawdą naszej natury i świata.

Jeśli rozumiemy już, że właściwy dramat polega tu na utracie niewinności i uczciwości słowa - to musimy dojść do pytania o możliwość odrodzenia tych cnót zaprzepaszczonej. Pewne jest jedno: że żaden "w tył zwrot" nie jest drogą właściwą - już Cervantes nie był do niego zdolny. Powstrzymując się chwilowo od szczegółowych recept, nie chcemy jednak tracić nadziei. Jak się wydaje współczesny Don Kichot może zachować swoją naiwność jedynie przyjmując postawę sceptyka. Myśl tę wnikliwie polecam Waszej gorącej rozwadze.

Sidi Hamet ben Engeli



"Napisałem! Wszystko jedno co, gdzie i po co. Chodzi o to, że ja napisałem i nagle zaistniało beze mnie, nawet czy nie wbrew mi. Zaczęło się znieszktałcać, rozwijać, ideologizować, prze potwarzać. Im dłużej czekałem tym bardziej dziej nie ja to pisałem, tym bardziej to było innym, o czym nie miałem pojęcia. Takie nieswoje swoje Coś można przyjąć i odpowiadać za nie albo się odciąć, uciec, głupiego udać. Wychowany chciałem z godnością stanąć na wysokości, naga pierś i z narażeniem, do końca... Stchórzyłem. Nie mo je - powiadam - gdzie bym śmiał się. Uwierzyli, i przepraszaali, i pocieszali, i poszli, i dioci. Tak zostałem sam z dziwnym facetem o imieniu Anatol."

P.F.

#### PISMO ŚWIETNE wg Anatola F.

"Za - prawdę powiadam Wam bo wiem, oto Pan stworzył świat i zobaczył, że jest on smutny. Powołał więc Proroka Swego Ostatniego, który natchniony duchem zawołał:

"Dto przyjdzie nowy Zabawiciel"

i zasnął bo był pijany.

I

I obudziwszy się stanął na brzegu rzeki i przemówił do tych;

których jeszcze nie było:



"Uozniowie moi bliska jest para powodzi, ale tylko ten co pływać umiał będzie utonie. Rzeka ta bowiem, która z brzegów wystąpi aby zabijać, jest martwym żywiołem a więc jest sprzecznością. Sprzeczność zaś jest prawdą, która nie od jednego pochodzi, a to co niejednostkowe wyższym jest. Oto powiedzą wam, sprzeczność wynika z nieporozumień i nauczać was będą jak sobie z tym radzić. Ale wy nie uczcie się pływać... Powiedzianno "Zabawiciel uratuje świat tylko na jedną sekundę gdyż trwać będzie ona wieczność". A ja wam powiadam nie wiercie i czyńcie wszystko jakbyście uwierzyli... Wtedy to z rzeki tej pić będziecie mogli tak jak i ja."

Pochylił się wówczas nad brzegiem i pił potężnie, bo też pragnienie miał niezziemskie. A ci co stali po drugiej stronie i słów jego nie słyszeli choć widzieli, że mówił, uznali go za niespełna rozumu.

## II

Tak oto Pabian Menelik, Ostatni Prorok Pana drugiego dnia od swego oświecenia został zamknięty razem z Chrystusem, Buddą, Mahometem i Paranoikiem w jednym pokoju i rzekł:



"Ustańcie w sporach waszych, albowiem zaprawdę powiadam wam wszyscy rację macie, a każdy z was żyje najlepszym życiem na jakie go stać. Czy bowiem w końcowym efekcie ważnym jest co się je, podczas gdy do ust wsadzając rozróżnia się potrawy na smakowite i obrzydliwe? Tak i wy nie chceście dzielić słów na smacznie wymawiane lub wypowiedziane ze wstrętem. Dlatego chodźcie do mnie wy co głosicie prawdę i wy co fałsz głosicie, podobnie skupcie się wokół mnie ci co pochwalacie dobro i ci co pochwalacie zło albowiem jesteście dla mnie i Pana mego jednacy."

I stało się dziwnie, oto ci co innych do głosu dopuścić nie chcieli przyszlizli do niego z sąsiednich pokojów i w różnych językach i różnych dialektach mówili aż on przerwał im i rzekł:



"Przyszliście niesłuchani i poniewierani, zagłuszani i zakrzyczani aby wreszcie ktoś was wysłuchał. A ja mówię wam "Nikt nie zostanie wysłuchany bo nie ma takiej potrzeby, ale też nikt nie przestanie mówić gdyż nie jest to w jego mocy. Nie szukajcie zrozumienia i pokłasku, gdyż najlepsze zrozumienie będzie niepełne a każdy pokłask zbyteczny. Tak więc mównica niech dla was domem będzie a słuchacze złodziejami. Nie liczcie więc na ich przyjaźń, powiedziane bowiem było "Nieprawdą jest, że ten co bierze nie może być twoim przyjacielem, ale to ty nie możesz być przyjacielem jego."

Tu przerwał i wprost z butelki napił się a tłum zafalował, mówcy myśleli, myśliciele mówili do siebie, tak wielką wagę przywiązywali do słów jego. A on mówił dalej:



"Zamilkły usta wasze gdyż nie wiecie czy przeczyć mi czy bić pokłony. Zmąciły się myśli wasze gdyż w słowach moich zawiera się wasze Tak i Nie, zawiera się każda wasza odpowiedź, każde kolejne pytanie."

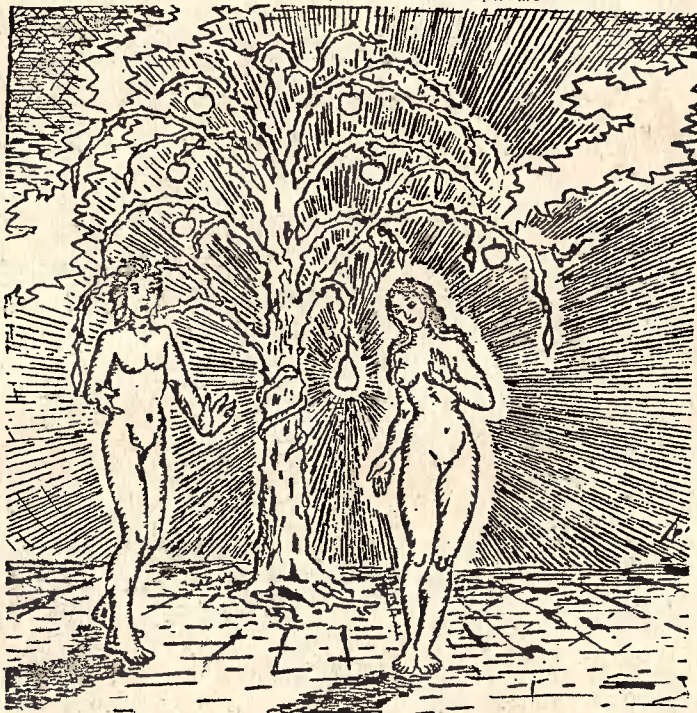
I uwierzyli mu i wrócili do swoich zajęć, a on krzyknawszy: "Potępieni będą ci, którzy zbyt wcześnie uwierzyli" odszedł zataczając się pozostawiając pierwszych wyznawców w rozterce i niepewności.



## 24 WYKŁADY W DBLICZU SNU NA JAWIE

"Funkcja przemiany w bajkach współczesnych"  
(próba przebudzenia się - 1)

Ludzie, którzy dostąpili zaszczytu przedziurawienia czasu, tak że łatwo im przez przypadek przelecieć na drugą stronę, tę od podszewki; ci ludzie - a są po temu poszlaki - nie umierają od razu, ale poprzez kolejne przeistoczenia oswajają się z tym najbardziej podstawowym z braków - brakiem siebie. A w drodze tej zdarzyć im się może, że jak ojciec Schulza skończą w postaci Karakona. A przecież dopną swego - spowolnienia odchodzącej egzystencji - i to nawet jeśli przyjęte przez nich niemłe postaci wydadzą się nam, patrzącym z zewnątrz, bardzo niewłaściwym po temu środkiem.



Lecz czy istnieje tu jakakolwiek "właściwość"? Bo może najlepszy i jedyny jest tu środek "niewłaściwy...". Tak: ten umykający byt z wielką łatwością koncentruje się właśnie wokół czasowej dziury, ślepego toru, każdej "grubej niewłaściwości". A korzystając z tak wybrakowanych elementów, z wytartego sukna czasu (jakiego użyto np. w "Sanatorium pod Klepsydrą") można bardzo łatwo (?) konstruować światy nie mieszczące się pod czaszkami filozofów. Okazuje się nawet, że najistotniejsze i ... najniewłaściwsze dokonania w tym względzie zdarzają się jak to przelatywanie przez dziurę - "przez przypadek" - a raczej dokładnie jak powiedziałem to

pierwszym razem: to przypadek jest ową dziurą.

"Pozwólcie przypadkowi przyjść do mnie. Niewinny on jest jako dziecko" - woła Zaratustra. Czyż przypadek nie jest owym spuszczonej oczkiem w tkaninie naszej niezmordowanej racjonalności? I czy przez przypadek tylko nie odsłania się przed nami zaskakujące oblicze prawdy? Jakiego ciągu przypadków by potrzeba - zapyta tu ktoś może - aby poznać ją całą? Ale z przypadkiem naprawdę jak z dzieckiem - nie wie on nic o naszych kalkulacjach. Tu nic się nie kumuluje. Nie można niczego dodać, a jak już zajdzie... nie łatwo się go pozbyć. Przypadek przypadkowi zaprzecza lub go ignoruje - nie mogą się porozumieć przyjmując jakiś consensus. Niewygodna to dialektyka - "wieczny spór", prawdziwa mordęga, koszmar, z którego wysiłkiem umysłu pragniemy się otrząsnąć, zażegnać, oddalić, zabezpieczyć przed jego nieobliczalnością. Lecz czy to nie wtedy dopiero - zasnęlibyśmy naprawdę? Lub przynajmniej: sny niespokojne zamienili na sen słodki i nieświadomy...?

Sam zawieszony między tym snem a snowadem, przerwę te daleko idące domysły, aby powrócić do bajki o Karakonie:

"Był sobie Karaluch zwany Grzegorzem Samsą, któremu przyśniło się, że był Karaluchem, zwanym Franzem Kafką, któremu śniło się, że był pisarzem, który piisał o pewnym urzędniku zwanym Grzegorzem Samsą, któremu śniło się, że jest Karaluchem."

Literatura południowo-amerykańska niejedno ma jeszcze do powiedzenia na temat ciężaru przelstoczeń, jak choćby ów powracający w kolejnych przemianach cygan "Stu lat samotności" - po swej wielokrotnej śmierci coraz cichszy, lecz wciąż gotów do nowego skoku w egzystencję. Nic dziwnego, że Monterosa w swej prostej przypowieści z miejsca odkrywa proteuszową zmienność naszego bohatera, która nie przestaje zadziwiać nawet jeśli nie zapominamy, że medium owych przemian jest senne urojenie. Z drugiej strony wątpliwa jest odmiennosc sytuacji samego Monterosa - gdy zważyć, że bajkowa łatwość transformacji, jaką się tu posłużył, niewiele odbiega od lekkości procedur wykorzystywanych przez sam sen.

Po wielokroć więc rację ma bazarz: ilustruje to również bajka o Kafce, wielce dumnym ze swego śpiewu, którego podszedł był lis, aby mu sen wyłudzić z dzioba. Dość podobnie zachował się wobec niego Monterosa, a i sam La Fontaine... dość, że sympatie jego stoją przy Lisie... może bazarz nie tyle śpiew ceni najwięcej, co sen. Może więc mówi tu o sobie samym - gdyż sen jest jego racją istnienia.

Czy słusznie zatem tu Kafką wplątano? Jego byt nie opierał się o tego typu rację - to on im się opierał, widząc w nich tylko piasek zasypujący nam oczy, niewiele różny od iluzji praw.

Jak pamiętacie, podejmując tę grę z racją i prawem, Kafka w przykrym znajdował się położeniu, porzucony na dnie tej piaszczystej studni, jak Józef przez swoich braci.

My również powinniśmy już otworzyć oczy: funkcja jaką pełni przelstoczenie w przybliżeniu się do prawdziwego bytu ma ograniczone działanie. Pewne wzbogacenie - już nie tylko języka, jak z aluzją było, ale własnej istoty - okupuje się nie tylko niezakorzeniem, tułactwem (co za zasługę możnaby sobie poczytać) ale i - kolejną iluzją, przebudzeniem... w kolejnej sferze snu. To nie zmęczenie wędrowką, lecz świadomość tej dwuznacznej sytuacji przywołuje nadzieję na jakiś Teatr z Oklahomy, gdzie dla każdego znalazłoby się miejsce.

Takim to półsennym, pół-jawnym daniem częstuje nas przez przypadek podjęta podróż do ziemi obiecanej, Ameryki.

Przypadek musiałby zostać poparty nowym, potęgującym go przypadkiem. "Niewinność" jest jednak nieprzekupna. Nie sposób przeciągnąć jej na swoją stronę SNUjąc się przemyślnych argumentów - to już wiemy.

A gdy przeciwnie, jak Kafka odważymy się mu przytaknąć i przytakiwać coraz gorliwiej, nie znajdzie się już miejsca na ziemi dla teatru z Oklahomy: milczą o nim w procesie, nie znają na zamku.

Problem wygnania z raju nie rozwiązuje się ani przez cierpliwość ani przez porywczosć - wcale się nie rozwiązuje. A jak do tego dojdą jeszcze niepojęte znaki od tego pana w kapeluszu, to ja już się wcale nie dziwię, że Kafka zrywa się znad talerza i chlusta tą egzystencjalną bryją... wprost do kominka

\*\*\*

Na wykładzie następnym towarzyszyć będziemy zapowiadnemu już "piekielnemu" przebudzeniu Blake'a. Proszę uzbroić się w niecierpliwość.

Jołachim Gawron



Co oznacza nieznaczną a co znacząca dwuznaczność  
(...statyczne zakończenie)

Zdajemy sobie oczywiście sprawę, że nie każdemu spodoba się taki sposób wypowiedzi - skoncentrowany, oparty o dwuznaczności, skupiający często kilka spraw naraz w jednym zdaniu, jednym zwrocie. Sami nieraz zastanawialiśmy się: po co mówić wyrażenia dwuznaczne (jak "imnamiętna prawda", "stanowisko l'ekologiczne") czy nawet trójznaczne ("usprawnione przekonanie") skoro i bez tego tak wiele słów żyje "podwójnym życiem". A otóż i nasz właściwy problem: myląca dwulicowość słów i pojęć, z którymi zdążyliśmy się żyć. O ileż bardziej i szczerzej uśmiecha nam się oblicze dwuznaczności w pełni zamierzonej. Bo wbrew pozorom myli ona mniej niż ta, do której przymusza język i uwarunkowane myślenie - jest świadomym skorzystaniem z powierzonego nam bogactwa odcieni. Jest wyrazem wysiłku, aby miał ulegać słowom i pojęciom, podjąć ich grę - która może okazać się grą o własne życie.

Owszem, wymaga to również i nieco większego wysiłku od czytelnika, ale może warto... Słowa w nowych kontekstach, wieloznaczne, wchodzące w nowe związki na wielu płaszczyznach -

nie podlegają tradycyjnym schematyzacjom, rozbijają uporczywe przyzwyczajenia i przesady - te skorupki, w których nam duszno. Wielopoziomowość takiej praktyki zbliża nas do innego jeszcze celu: zaspokaja w pewnej mierze potrzebę szałania naszych duchowych doświadczeń. W sytuacji gdy "każdą cząstką ciała wołamy o Całość" pogorń za jednoznacznością może się okazać zabójczym rozproszkowaniem. Równocześnie naszego funkcjonowania na wielu poziomach również domaga się wygłosu. Rozkwitające znaczeniami słowa zdają się więc pełniej wyrażać rzeczywistość wewnętrzną, bez czego nie ma także zrozumienia świata.

Słowa te, tak jak i wiele innych, najzwyczajniejszych z pozoru słów - posiadają "drugie dno". Ale tu to dno jest widoczne, jakby zaopatrzone wskazówką, dzięki przemyślności konstrukcji zakrywająca je ciecz kontekstu staje się przejrzystą (choć nie jest wodnistą zupką) - a jedynie dla nieuwważnego bądź leniwego czytelnika może się stać prawdziwą "czarną polewką". Po przeciwnej stronie - kryje się niewidoczne pod gładką, nie zapraszającą do penetracji powierzchnią - zdradliwe "drugie dno" oczywistości.

(Pławajmy na tę skorupę...!)



### Zakończenie w najwyższym stopniu niewłaściwe

Nietrudno dostrzec, że tkwiąca u źródła naszych dociekań "potrzeba życia w prawdzie" niewiele ma wspólnego z licznymi wołaniami o prawdę, jakie z wielu stron do nas ostatnio dochodzą. Nie idzie nam przecież o powrót do prawdy faktu ani o rzutowanie jej na płaszczyznę moralną - bo choć temu czy owemu może wydawać się widniej pod latarnią oczywistości lub etycznych pryncypiów, w niczym nie odmienia to faktu, że właściwy problem leży poza obrębem Jej światła. Toteż w rozważaniach naszych przyjęliśmy za cel poszukiwanie zagubionego w mrokach klucza do tak łatwo zbywanego lub rozpatrywanego na niewłaściwym mu gruncie zagadnienia prawdy.

Jednym z jego elementów najistotniejszych jest niewątpliwie konieczność rozpatrzenia, również i przez nas podnoszonej zasady "de Veritas non disputandum" (1). Zasada ta, po wielu

publicznych wypowiedziach sądząc, zdaje się atanować "dobro powszechne".

Nie od dzisiaj zresztą. Bezdyskusyjność prawdy i jej podania odkrywamy "już w najdawniejszych społeczeństwach" (4). Niemożność dysputy określała się w nich najprościej: nieobecnością problemu, który można by pod nią poddać. Kłamstwo wówczas jak i dziś, było nieprawdopodobieństwem (3) lecz w tym znaczeniu, że go nie było. Dziś wygodnie jest nazywać to "szalenstwem myśli i czynu" (4), choć wątpliwe jest aby i te dwa stany można było wówczas rozróżnić.

Nie zapominajmy przecież, że ludzie ówczesni nie istnieli na właściwy nam dyskusyjny sposób, lecz na rzetelny sposób opowiadania. Nie skosztowali bowiem jeszcze "wątpliwego owocu domyślności" (4) z drzewa poznania. Był więc, jak domniemywamy, kiedyś czas gdy naprawdę słowo było ciałem - nie potrzebowało potwierdzenia w czynach, gdyż samo czyniło... co mogło, aby nie okazać się sposobem bycia podlejszym od innych.

Stan taki, gdyby miał trwać, oszczędziłby dziś wiele trudu tak nam jak np. autorce notatki o SDP (2). Niestety nie jest już dla Nas możliwe osiągnąć ową imnamiętną naiwność (1). Oddziela nas od niej "nieprzebyta puszcza życia pozytywnego" (1) a gdzieś na jej kresie, jako zdarzenie najważniejsze, wokół którego krąży kilka zamieszczonych w naszym piśmie tekstów - pewne ukryte w łonie czasu "zajście metafizyczne" o rozlicznych konsekwencjach. Tak przykładowo "fascynacja zaautomizowanym pierwiastkiem zmyślenia poprzedza nawet samo zrozumienie dokonanego rozdziału, który przecież musiał w jakiejś formie dokonać się wcześniej, który umożliwił dopiero fikcję czystą" (5). Od tego to miejsca "ruszyła z kopyta historia" (4) by złotymi zgłoskami spisywać swą apologię, w błąd wprowadzając do az(cz)erszej prawdy nawykłych "czytelników doskonałych" (6).

Preegzystencja owej jednej, danej bezdyskusyjnie prawdy na naszych oczach przekształcała się w równie wyłączoną z dyskusji "prawdę obiecaną" (5). Wspólnie tworzą one idealne ramy dla historii, którą z takim trudem przychodzi nam wypowiadać. Toczący się w tych ramach proces "a praktycznie biorą w nim udział wszyscy" (4) chętnie widzielibyśmy jednak bardziej otwartym.

Aby uczynić choć krok w tym kierunku wyjaśnić trzeba pewną, towarzyszącą nam stale nieścisłość. Niejasna byłaby bowiem cała ta przemiana prawdy i to podwójna: raz w dyskusyjną, podzieloną a następnie znów w absolutną i nietykalną; nierozumiałe również skąd zjawia się szantażująca ją obietnica, gdyby... gdyby nie ów nieuchwytny moment zerwania z układem pierwotnym.

Bo właśnie gdzieś w pobliżu tego pierwszego, mitycznego bieguna "kręgu prawdy" dojrzał ów moment rozpisujący niejako na role jej bezdyskusyjnie postulowaną jedność - aby ją jedną z tych ról przesłonić a nawet: zastąpić. Tak w opowieści biblijnej, jak w naszym wypracowaniu trudność główna w uchwyceniu tego "momentu przejścia" polega na tym, że w istocie nie jest to żaden moment dziejowy, choć w połączeniu ze swym drugim biegunem obietnicy - wspiera sam ruch historii, czy

W nawiasach podajemy numer porządkowy (?) tekstu, z którego zacze rpnięto cytaty lub myśli.

W świetle dalszych rozważań równoprawny jest tu i czas terażniejszy : "dojrzenia"

też: poddaje jej motyw. W tym sensie jest to więc moment trwale zrośnięty także i z Naszym Czasem. Jest "momentem" naszego trwania "tu i teraz". A zwrócenie uwagi na jego niewyżytą tajemnic obecność - odsłania głębię samego czasu, wymiar idący w poprzek (i na przekór) linearnemu continuum, które akądną odnięto awą zasadność i "właściwy początek".

Rozumiemy już teraz jak bardzo dwuznaczny jest charakter tego momentu - dzieli on i łączy ponownie to, co rozdzielił - rozumiemy również i to, że współcześnie zaledwie jedno z tych znaczeń (rozdzielające) do nas powszechnie przemawia.



Gdyby chcieć dalej zgłębiać to drugie, zapoznane (choć dostępne w czasowym pobliżu) to mogłoby się okazać, że przechowuje ono w sobie pogłos owej odległej źródłowej prawdy opowieści. Bo przecież ta w istocie Totalna Prawda (5) nie znajduje oparcia w opozycji kłamstwa ani błędu, jakkolwiek kontrast swój może uzyskać jedynie w postaci milczenia.

A reliktem tego "zwrócenia ku milczeniu" - lecz także codziennym, powracającym - jest po cichu uznawana zasada, że rozmowa służy porozumieniu wyłącznie wtedy, gdy rozmówcy gotowi są zamknąć wobec tego co powiedziane, a co "zakulisowo" dyryguje ich sporem. O ileż łatwiej przecież Milczenie to zjawia się nam na uetach w obliczu fantastycznej historii

poplątanych fabuł, niż wobec roznamiętnionej pyskówki prawd obiektywnych. Milczenie takie nie jest zwykłym "brakiem głosu" - ale zaśluchaniem, wyczuleniem na głos "powiedzianego", które w owym "namiocie ciszy" rozpostartym przez zainteresowane strony, korzysta z okazji aby się tym bezwstydniej obnażyć.

Bezwstyd ten z całych sił popieramy, tak w mowie jak na piśmie, licząc na coraz częstsze, wyzbyte skrępowania, obnażenia. A cóż to takiego mielibyśmy obnażać? - zapyta ktoś. Ano, co kto może: mężczyzna - swą męskość, kobieta - kobiecość a człowiek - człowieczeństwo.

J.B. i M.W.



Goya ubrana

**UMARŁ**

**BETTELHEIM**

*Czerwony Kapturek*

## Spisek treści

Wypracowanie ekstatyczne	2
Wprawdzie (próba trafienia do pudła)	3
Właściwy początek naszego wypracowania	6
O niesłuszności podziału na pracowników Metafizycznych i Umysłowochorych	7
O szkodliwości słowa	8
Saga o Prawdzie	9
Słowo o przemyślnym szlachcicu z Manchy	13
Pismo świetne wg. Anatola F.	15
Funkcja przemiany w bajkach współczesnych (Wykłady w obliczu snu na jawie)	17
Co oznacza nieznacząca a co znacząca dwuznaczność (... statyczne zakończenie)	19
Zakończenie w najwyższym stopniu niewłaściwe	20

## Redakcja



JAKUB  
BUŁAT  
MICHAŁ  
WORWAŁ  
PIOTREK  
FRĄCZAK

Warszawa  
ul. Urbanistów  
8 m. 129  
22 85 70